

Opozycja w opałach

31 lipca 2023

Kampania przedwyborcza przybiera na sile, choć nikt nie wie, czy jakieś fatum nie stanie na przeszkodzie wyznaczeniu daty wyborów połączonych ewentualnie z referendalną legitymacją dotychczasowych rządów (relokacja migrantów jest jedynie pretekstem).

Jeśli już to nastąpi, szykuje się w polskim krajobrazie politycznym wystąpienie iście „diabelskiego wynalazku”, kiedy wynik głosowania ludowego może być sprzeczny z dokonaniem przez lud wyborem większości parlamentarnej. Co wówczas orzekną słuźebni wobec władzy sędziowie trybunałów? Który wynik głosowań będzie ważniejszy? Może wyjściem z patowej sytuacji będzie jakiś „kabaretowy” zamach stanu? Patrząc na skłóconą scenę polityczną, wszystko wydaje się możliwe.

Zwłaszcza, że nie brakuje „wzorów” płynących z Francji czy USA, gdzie „najwspanialsze” demokratyczne modele ustrojowe zaczynają trząść się w posadach. Narasta ruch antyestablishmentowy i populistyczny, a widmo „bratobójczych” wojen nie jest bynajmniej wymysłem rosyjskiej propagandy. Zdają sobie z tego sprawę władze państw zachodnich, ale sprytnie wolą odwracać uwagę od własnych problemów w stronę „dyktatorskiej” Rosji.

Tak więc wojna na Ukrainie dostarcza alibi, aby w razie potrzeby manipulować egzystencjalnym zagrożeniem własnego narodu. A zatem w imię przetrwania polskiego państwa, irracjonalnie poświęcającego swoje zasoby w obronie sąsiada przed rosyjską agresją, „wolne wybory” można tak zmanipulować i ograniczyć, aby służyły zwycięstwu dotychczasowej władzy. Takie stanowisko może wywołać całkowitą „bezwładność” opozycji, która dotąd nie wygenerowała samodzielnego stanowiska wobec totalnego wprzęgnięcia Polski w awanturnictwo wojenne na Wschodzie.

Pasywna postawa i nieporadność w sprawie szalejącej rusofobii pokazuje, jak kiepsko przygotowani są antypisowscy politycy do sprawowania ról publicznych. Nie potrafią merytorycznie argumentować ani odważnie uzasadniać odmiennych racji. Brak im perswazyjności i polotu polemicznego, opartego na wiedzy, a nie na demagogii. Co gorsza, nie potrafią skutecznie obronić swoich decyzji z przeszłości, pozwalając na osaczanie ich przez propagandowych „zagończyków”, prowadzących nową krucjatę rozliczeń. Są po prostu niegramotni i nieskuteczni.

Błędem jest, gdy opozycja polityczna zadowala się fasadowymi konsultacjami podczas posiedzeń Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Jej liderzy wraz z ekspertami powinni zaproponować wyraźną korektę doktryny obronnej RP, w której na pierwszym miejscu musi bezwzględnie znaleźć się obrona polskiego interesu narodowego. Troska o swój stan posiadania, dobrostan obywateli, całość terytorialną i skuteczność sojuszniczej dźwigni pomocy na wypadek obcej agresji – to są zadania nadrzędne i pierwszoplanowe. Opozycja musi roztropnie dbać – w odróżnieniu od rozhisteryzowanych ośrodków władzy – o zmniejszanie ryzyka uwikłania Polski w wojnę, wskazując na powiązania polskich interesów z bezpieczeństwem świata zachodniego. I tak jak czyni to Zachód, domagać się od Ukrainy spełnienia warunków, związanych z jej naprawą i uregulowaniem stosunków sąsiedzkich, aby państwo to po uzyskaniu zachodnich (amerykańskich) gwarancji bezpieczeństwa (na wzór Izraela?) nie było rozsadnikiem wojny.

Tylko opcja wojenna

Opozycja, choćby z uwagi na międzynarodowe doświadczenie Donalda Tuska, powinna większą wagę przykładąć do poszukiwania prób pokojowego uregulowania konfliktu ukraińsko-rosyjskiego. O ile na Zachodzie w różnych kręgach eksperckich z udziałem polityków dywaguje się nad wypracowaniem korzystnej pozycji negocjacyjnej dla Ukrainy, o tyle w Polsce wszystkie siły polityczne, wbrew racjonalnym przesłankom, nawołują do

„prowadzenia wojny aż do zwycięstwa”, niezależnie od tego, jakie są dotychczasowe skutki tej katastrofy w skali lokalnej i międzynarodowej.

Nikt nie antycypuje zachowań Ukrainy w przyszłości. Państwo to wymaga czasu nie tylko na odbudowę, repatriację swoich obywateli i zapewnienie im choćby minimalnego standardu życia, ale także, a może przede wszystkim wykreowanie w drodze demokratycznej „alternacji” nowej elity politycznej, zdolnej do konsolidacji po traumie wojennej. Potrzeba przede wszystkim elity przewidywalnej w swoich decyzjach, rozważnie sięgającej do użycia siły. Nikomu nie jest potrzebna recydywa niekończącej się wojny.

Od miesięcy staram się zrozumieć, dlaczego polityka polska wobec wojny na Ukrainie musi mieć charakter bezalternatywny. Trudno pojąć, dlaczego żadnej z partii opozycyjnych nie stać na odrębne myślenie w sprawach ponoszenia olbrzymich kosztów związanych z wojną, domagania się od rządzących transparentności transferów pomocowych, choćby śladowych zabezpieczeń kontraktowych i poręczeniowych, materialnych gwarancji dla własnej gospodarki, w tym przede wszystkim produkcji i zbytu żywności, przeciwdziałania katastrofalnej perspektywie własnego przemysłu zbrojeniowego, czy pełnego uzależnienia od obcych strategii wojennych, prowokujących do nienawiści i wrogości sąsiedzkiej? Podpisując się gremialnie pod nieprawdziwym hasłem, że to jest „nasza wojna”, opozycja bezkrytycznie popiera w tym względzie działania rządzących, a zatem bierze na siebie także odpowiedzialność za wszystkie ich nadużycia i błędy, nie mówiąc o zobowiązaniach na przyszłość, gdy przyjdzie uregulować wszystkie rachunki.

Inna wątpliwość dotyczy dziwacznej jednomyślności w polityce wobec Białorusi. Dlaczego przy okazji poparcia dla „białoruskiej opozycji” poświęcono los polskiej mniejszości narodowej w tym państwie? Dlaczego tak łatwo i bezmyślnie uznano Białoruś za wroga? Skąd ta pogarda dla „woli wewnętrznej” każdego z „posowieckich” państw, które ani nie

mają własnych wzorów demokratycznego rządzenia, ani mentalnie do takich wzorów nie dorosły? A jeśli już, to dlaczego nikogo w Polsce nie drażnią dyktatury w Azerbejdżanie czy państwach Azji Środkowej? Zresztą sama Polska nie grzeszy demokratyczną kulturą polityczną, którą można byłoby zaszczerpieć innym. Skąd takie bezkrytyczne mniemanie polskich polityków, że mogą być wzorem dla innych? Wystarczy posłuchać masowo protestujących obywateli Izraela, którzy nie chcą u siebie powtórek z „polskiej praworządności”.

W tym kontekście polska opozycja polityczna jest szczególnie inercyjna, jeśli chodzi o antycypowanie zmian politycznych we wspólnocie zachodniej. Histeryczna reakcja na rządy Fideszu na Węgrzech pokazuje, że ważniejsze jest moralizowanie niż orientowanie się w procesach rzeczywistych nastrojów społecznych i przemian. Odżegnywanie się od kontaktów z prawicowo-nacjonalistycznymi ugrupowaniami Europy Zachodniej jest dowodem braku rozeznania w sytuacji. Realpolitik wymaga przygotowania się na każdy scenariusz rozwoju tak w USA, Francji czy w Niemczech, gdzie prawicowe partie zdobywają coraz większe poparcie społeczne. W tym sensie PiS wie, co robi, budując sobie szerokie zaplecze międzynarodowe.

Jeśli nowe generacje polityków na Zachodzie (wszystko jedno o jakiej ideowej proweniencji) dokonają kiedyś kolejnego z powtarzających się przecież w historii „resetów” wobec Rosji, to Polacy muszą mieć przygotowaną na tę okoliczność własną strategię akomodacji. Nie stać nas bowiem na wszczynanie samodzielnych awantur, ani prowokowanie niepotrzebnych scysji. Polska winna przewartościować swoją strategię międzynarodową, korzystając z doświadczeń takich państw jak Turcja, Węgry czy państwa skandynawskie. Umiejętność dogadywania się z każdym („zero problemów z sąsiadami”) z korzyścią dla własnych interesów, to podstawa nie tylko harmonijnego rozwoju. To także szansa na budowanie harmonijnego ładu międzynarodowego w skali regionalnej i globalnej.

Zadufani w sobie

Na fałszywą diagnozę PiS, że liberałowie pozostawili Polskę „w ruinie”, nigdy nie było zorganizowanej kontrofensywy medialnej ze strony opozycji. Nie bez poczucia pychy b. politycy spod szyldu PO, SLD i PSL uznali sami siebie za najlepszych analityków i komentatorów rzeczywistości społecznej. Uwierzyli, że sami wszystko wiedzą najlepiej, a popełnianie błędów (choćby w polityce wschodniej) nigdy nie było ich udziałem. Najgorsze było to, że wpadając w samouwielbienie, zapomnieli o relatywizacji i zmiennym społecznym odbiorze swoich osiągnięć. Widać to zresztą dzisiaj, kiedy w TVN 24 trwa korowód „dziadersów”, niemających nic ciekawego do zaoferowania ani w sensie psychologicznym, ani intelektualnym. Niewidzących swojego udziału w ograbieniu Polski z majątku narodowego, w przyczynianiu się do postępującej desuwerenizacji czy uzależnienia od transnarodowych korporacji, zgodnie z panującą neoliberalną modą. Niepotrafiących w końcu definiować w sposób racjonalny polskiego interesu narodowego na tle dynamicznej gry sił geopolitycznych.

Tymczasem autorytarna władza PiS kontroluje nie tylko media masowe, zwane „publicznymi”, ale ma też do dyspozycji wszystkie służby państwowe, wpływy kadrowe i instytucjonalne, a przede wszystkim „nieograniczone” zasoby pieniędzy. Ludzie są zadowoleni z wszelkiego rozdawnictwa (nawet przeciwnicy PiS chętnie sięgają po „podarki”, bo jak dają, to trzeba brać), a zagrożenie przez opozycję załamaniem budżetu czy niewypłacalnością ZUS nikogo specjalnie nie martwi, bo dla żyjących „tu i teraz” takie groźby brzmią abstrakcyjnie ze względu na odległą perspektywę.

Zwłaszcza, że Polska jest beneficjentem Unii Europejskiej, co na co dzień potwierdza sama opozycja. Jak będzie gorzej, to Bruksela przecież nie pozwoli nam zginąć! Czym więc się martwić? Chyba tylko „dyktatem niemieckim”. I tu pojawia się

kolejne zaniedbanie ze strony opozycji. Zamiast przestać upierać się przy jednej wizji integracji europejskiej (w stronę „imperium” federalnego), politycy pretendujący do przejęcia władzy w Polsce są przekonani, że w Brukseli można znaleźć panaceum na wszystkie bolączki i kłopoty. Nikt z polityków opozycji nie podejmuje merytorycznego dyskursu o alternatywności dróg modernizacyjnych. Nikt też nie zauważa, że w Unii Europejskiej jest wiele mankamentów i wynaturzeń (choćby na tle rozliczeń finansowych czy lobbingu).

Wiedza o procesach i mechanizmach integracyjnych Unii Europejskiej jest w znikomym stopniu przyswajana przez elektorat. Proste hasła, nieprzychylne Unii, choćby w sprawach polityki migracyjnej czy deficytu demokracji w podejmowaniu decyzji, bardziej trafiają do odbiorców niż nudne wykłady i mowy pochwalne. Antyeuropejska reakcja w Polsce może być tylko zjawiskiem przejściowym. Może wszystko wrócić do normy po wyborach. Trzeba však zauważyć, że walka z „projektem europejskim” toczy się nie tylko o pieniądze, ale także o wartości. Polscy politycy z każdej opcji – niezależnie od zwycięzcy w wyborach – nie unikną odpowiedzi na pytania, gdzie są granice swobodnego stanowienia o sobie przez państwa członkowskie w wielu wymiarach pozatraktatowych.

Dotyczy to zwłaszcza obrony tzw. imponderabiliów, specyfiki kulturowej i tożsamości narodowej. Zachód bynajmniej też z nich nie rezygnuje. Ma jednak większe szanse obronić swoje racje ze względu na korzystny dla siebie stosunek sił w ramach Unii względem „późnoprzychodzących” z egzotycznej Europy Wschodniej. Trzeba twardo stanąć na stanowisku, że przyjmowanie wszystkich „nowinek” z Zachodu nie musi oznaczać dla Polaków jakiegoś nadzwyczajnego postępu cywilizacyjnego. Brońmy Polski i polskości, tak, jak ją rozumiemy, jednocześnie ją mądrze modyfikując. Bez żadnej idiotycznej „poprawności politycznej” czy jeszcze głupszej „kultury unieważniania”.

Co jeszcze można zarzucić opozycji – poza posłami Konfederacji – to milczenie w sprawie obrony wolności wypowiedzi. Za „wolne

media” według opozycji uznaje się tylko te, które podzielają jej poglądy. Niedawna batalia o koncesję dla TVN była tego wymownym przykładem. Przy okazji w rzekomo suwerennym państwie nikomu nie przeszkadza aktywność interwencyjna ambasadora Marka Brzezińskiego, który ustawił się, podobnie zresztą jak jego poprzedniczka, w roli amerykańskiego namiestnika i recenzenta spraw polskich. Według wszelkich reguł i konwenansów, to doprawdy wizerunkowa katastrofa i rządu, i opozycji. Notabene, szkoda, że kierujący się ideałami wolności dyplomata nie upomina się o swobodny dostęp do innych mediów, zablokowanych przez służby specjalne.

Ludzie uczestniczący w wyborach z wielu powodów wykazują lojalność wobec dotychczasowej władzy. Jest ona swojska i przewidywalna. Nawet jeśli kradnie, czy popełnia błędy, to jest taka, jacy są obywatele. Prymitywna i przaśna, pazerna i warcholska. Zjednoczona Prawica jest emanacją i ostoją „polskości”. Opozycja sili się na „europejskość” i „dobre maniere” na salonach, ale jednocześnie jest strachliwa i zakompleksiona, co ludzie doskonale wyczuwają. Jest fałszywa w opisie swojej dotychczasowej roli politycznej i nie potrafi zarazić entuzjazmem do zmian politycznych rzeszy zwolenników. Jeśli nawet wychodzą oni masowo na ulice, to sami nie mają przekonania, że ich reprezentanci sprostają wyzwaniom „nowej rewolucji”. Od wielu rozmówców słyszałem, że „znowu wygra PiS”. Może to być niestety samospełniająca się przepowiednia.

Opozycja musi uruchomić większy potencjał intelektualny, sięgnąć po autorytety, niekoniecznie dotąd zaangażowane politycznie. W otoczeniu polityków opozycyjnych nie pojawiają się żadni poważni eksperci czy doradcy, ani tym bardziej osoby popularne w swoich profesjach, celebryci czy fachowcy od reklamy. Chciałoby się powiedzieć za Stanisławem Wyspiańskim, że „szereg dobrych błaznów zrzedł, przywdziewamy szarą barwę; koncept narodowy gaśnie...”.

Stracone szanse

Ludzie mają dość prymitywnej propagandy wojennej i bełkotliwej retoryki polityków. Opozycja miałaby tu szerokie pole do działania, gdyby potrafiła zdefiniować najważniejsze problemy i zaprezentować alternatywne rozwiązania. Zamiast spierać się wyłącznie o kolejność miejsc na listach wyborczych, należałoby równolegle uruchomić i nagłaśniać między-, poza- i ponadpartyjne fora dyskusyjne, powołać ekspertów do spraw konkretnych reform, zamówić wśród prawników i ustrojowców najbardziej konieczne i nowoczesne regulacje ustawowe, opracować czytelny system rozliczeń dotychczasowej władzy na wszystkich szczeblach, uwiarygodnić się wobec wyborców, stawiając na pokolenie 40-50-latków, przedstawiać opinii publicznej zdolnych i kompetentnych kandydatów do służby państwowej, nieobciążonych schedą pokomunistyczną ani posolidarnościową.

Przynajmniej od części opozycji należałoby oczekiwać przywrócenia radykalnej zasady świeckości państwa, wyprowadzenia religii ze szkół, a na szczeblu dyplomatycznym rozpoczęcia procedur związanych z wypowiedzeniem anachronicznego konkordatu. Sekularyzacja państwa powinna w szybszym tempie nadążyć za zachodzącym w młodszych pokoleniach dynamicznym procesem laicyzacji. Inaczej pretendujące do nowoczesności partie polityczne ulegną jeszcze głębszej alienacji i obudzą się kiedyś z „ręką w... naczyniu nocnym”.

Do dyskusji w trakcie kampanii wyborczej pozostaje wiele innych tematów. Dlaczego kwestia kosztów związanych z utrzymywaniem uciekinierów wojennych nie stała się przedmiotem poważnej debaty publicznej? Ludzie przecież widzą, że są oszukiwani. Po co „hodować” społeczną niechęć, a w końcu budzić różne formy sprzeciwu i demony ksenofobii? Dlaczego opozycja pozwala wraz z rządzącymi na „tabuizację” rosnącej przestępczości z udziałem przybyszów zza wschodniej granicy?

Wreszcie, skąd bierze się ta nadzwyczajna wyrozumiałość wobec nieprzyjaznej polityki władz ukraińskich w sprawach polskiej martyrologii na Kresach? Liczne niekonsekwencje i wpadki przedstawicieli Polski w kontekście 80. rocznicy apogeum zbrodni wołyńskiej pokazują, że ani rządzący, ani opozycja nie mają w tych sprawach spójnego i jednoznacznego poglądu.

Żadna partia opozycyjna nie buduje programu, który zmieniłby wizerunek Polski tak w stosunkach sąsiedzkich, jak i w ugrupowaniu integracyjnym, jakim jest Unia Europejska. Krytyka polityki PiS nie zastąpi przecież szerokich akcji „oddolnych” – uświadamiających, edukacyjnych i promocyjnych. Politycy wszystkich orientacji powołują się na „wartości europejskie”, ale mało kogo stać na to, aby przyznać, że Polska posolidarnościowa jest niestety anachroniczna względem Zachodu, zarówno od strony kultury politycznej (z feudalnym syndromem poddaństwa i nawyków autorytarnych), jak i zacofana kulturowo. To wyłącznie polski fenomen w Europie, kiedy o standardach obyczajowych, w tym o prawach kobiet, decyduje konserwatywny patronaż katolickiego kleru.

Obserwując polskie przemiany ustrojowe ostatnich trzydziestu lat zastanawiam się często, co legło u podstaw tej politycznej nienawiści, która pokrzyżowała wszelkie plany i marzenia o zbudowaniu przyzwoitej stabilnej demokracji parlamentarnej. Czy był to tylko podział w obozie posolidarnościowym na tle ideologicznym i światopoglądowym, czy może trwałe dziedzictwo podziałów stanowych i klasowych, których nigdy w swojej tożsamości zbiorowej dobrze nie przepracowaliśmy? Proponuję, aby niektórych odpowiedzi na te pytania poszukać w niewielkiej, ale jakże kształcącej publikacji Andrzeja Romanowskiego pt. „Odwieczny PiS, czyli Historia Polski”?

Do tego wszystkiego dochodzi charyzmatyczna personifikacja władzy (syndrom „kultu jednostki”), co oznacza, że całą uwagę skupiono na przywódcy, „męczeńskim micie” jego brata oraz otoczeniu gorliwych akolitów. Krytyczną opinię publiczną zdołano ograniczyć przy pomocy fałszywego moralizatorstwa i

zanegowania jej roli kontrolnej. Zapanowała powszechna ignorancja, łącznie z kryzysem nauki i szkolnictwa, co oznacza cofnięcie społeczeństwa do fazy „przEDOŚwieceniowej”. Wiedza przestała mieć autonomiczną wartość emancypacyjną. Stała się narzędziem władzy i oszustwa. Jak zauważył Michel Foucault, nie istnieje coś takiego jak „prawda”, lecz jedynie „pole sił i konfliktów”.

Obawiam się, że całą tę schedę najbardziej skutecznie wykorzystał lider PiS, który zgodnie z duchem ponowoczesności postawił na medialny populizm. Lider partii rządzącej ze swoimi „wyznawcami” doskonale opanował technikę „ironizacji”, sięgając do wyśmiewania przeciwników politycznych, przedstawiając ich jako nieudaczników, szkodników czy zdrajców. Przy czym owa „mimika śmiechu” nie jest odległa od szczerzenia zębów u zwierząt, poprzedzającego agresję.

Nie ma sensu spierać się o fakty, gdyż one nie istnieją. Prawdziwy świat opiera się na ich interpretacjach, opowieściach, narracjach. Jeśli tylko dysponuje się władzą, to można sprawić, że ludzie uwierzą w każdą bzdurę. Najważniejsza jest bowiem racja silniejszego. W ten sposób na oczach społeczeństwa przekształcono myślenie polityczne w karykaturę, a samą politykę w maskaradę, czego przykładem są pląsy polityków Zjednoczonej Prawicy na Wałach Jasnogórskich.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info